

NAD JEZIOREM

Jeziro to nieco za duże słowo określające zbiornik wodny znajdujący się niemal w centrum Kętrzyna. Ale dla małego chłopca było wielkie. Urodziłem się w 1947-mym roku właśnie tu, w byłym pruskim Rastenburgu. Jestem więc „chłopakiem z Mazur”. Określenie Prusak, ze względu na historyczne doświadczenia Polaków, uważałbym za obraźliwe. Mój ojciec wybrał na miejsce zamieszkania skromny poniemiecki 2-piętrowy dom ,chyba ze względu na to jezioro i ogród na skarpie tuż za nim. Ciocia Wera twierdziła, że nie chciał osiedlić się w pustych, umeblowanych, eleganckich domkach na nieopodal położonej ulicy Reja , będąc niepewnym przyszłości tych ziem i szanując własność prywatną mogących jeszcze powrócić autochtonów. Mieszkaliśmy na 1-szym piętrze. Wejście przez kuchnię do trzech przechodnich pokoi z piecami kaflowymi i trzęsącą się podłogą z desek. Nie było nawet łazienki. Ojciec wybudował ściankę oddzielającą część korytarza, w której zainstalował wielką emaliowaną wannę i prysznic. Na dole mieszkała wcześniej rodzina mojej mamy, a później matka ojca, moja babcia, wraz z młodziutką jeszcze ciocią Werą i stryjkiem Heńkiem. Tato pomagał im wiązać koniec z końcem. Dziadka enkawudziści wywieźli w ostatniej brance przed napadem Niemców na ZSRR i zastrzelili gdzieś po drodze podczas panicznej ucieczki na Wschód. Niewiele wiem o dziadku Kazimierzu. Pochodził prawdopodobnie z Warszawy. Mój tato śmiał się, gdy ktoś wspomniał coś o legendzie rodzinnej, jakoby przodkowie dziadka byli potomkami wicekróla Węgier Zapolyi, zmuszonymi do ucieczki i ukrywającymi się na terenie Inflant. Na niedalekiej Łotwie do dzisiaj żyją Polacy noszący nasze nazwisko. Zachowało się jego jedyne zdjęcie. Ognisty wzrok, ciemne włosy, wypisz, wymaluj Węgier. Trochę podobny do ś.p. stryja Heńka .Dziadek podobno pracował kiedyś w stoczni i pływał w łotewskiej flocie .W miejscowości Różewo niedaleko Brasławia wraz z babcią Anielą, posiadali nieduże dwudziestohektarowe gospodarstwo z wydzierżawionym jeziorem o tej samej nazwie, gdzie z powodzeniem zajmował się rybołówstwem. Za pośrednictwem miejscowych kupców żydowskich sprzedawał ryby, które były eksportowane nawet za granicę. W oczach miejscowych był stosunkowo bogatym człowiekiem. To i przeszłość kombatancka (udział w wojnie z bolszewikami) wystarczyło, żeby ktoś z miejscowych aktywistów doniósł na niego nowym komunistycznym władzom.

Od strony podwórza mieszkała pani Pietkunowa wraz z córką i zięciem. To w jej domu w Brasławiu mieszkał w czasie okupacji ojciec , będąc równocześnie jednym z członków kierownictwa miejscowej organizacji AK i jej zakonspirowanym wywiadowcą w kantine białoruskiej policji . Za sąsiada tuż obok nas mieliśmy ciekawego człowieka, Cygana z pochodzenia, dobrego rzemieślnika i oryginała. Codziennie rano biegał boso po trawie twierdząc, że jest to samo zdrowie. I chyba miał rację, bo jeszcze wiele lat później widziałem tego 90-ciolatka gimnastykującego się w oknie już na nowym osiedlu. Na poddaszu urządziła się rodzina państwa Giżyckich. On, skromny, cichy piekarz wstawał do pracy w nocy i rzadko go można było zobaczyć w ciągu dnia. Domem i wychowaniem córek Wandy, Basi i synka Jerzyka zajmowała się jego władcza żona. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że podobno w czasie wojny przechowywali żydowską rodzinę.

Mama poznała ojca właśnie tu, w tym domu. W zburzonym mieście stacjonowały jeszcze wojska sowieckie. Rosjanie penetrowali Siedzibę Hitlera w pobliskim Gierłożu, rozbrajali rozległe pola minowe i wywozili, co się da. Młode, ładne dziewczyny bały się gdziekolwiek wytknąć nosa. Krasnoarmiejcy pod oknami grali na harmoszkach, nawet całkiem ładnie, ale mama i moje ciotki widziały na cmentarzu grób niemieckich zakonnic zgwałconych i zamordowanych przez jakichś zdegenerowanych Kałmuków.

W 1948-mym roku ojca aresztowało UB. Brakowało pieniędzy. Mama woziła paczki ze skromną, odejmowaną od ust żywnością do więzienia w Bartoszycach. Poszła do siedziby milicji i UB ze mną na rękę. Miałem wtedy roczek. Komendant powiedział jej :

- My go rozstrzelamy. On kręci i nie mówi prawdy-.

Miało to związek z działalnością ojca w konspiracji i w wywiadzie AK (przez pewien czas prowadził kantynę w policji białoruskiej w Braślawiu, gdzie został skierowany przez swoich dowódców w celu uzyskiwania danych wywiadowczych). Tuż przed wojną ojciec ukończył szkołę wojskową w Wilnie i jako saper podchorąży woził sprzęt saperski z Warszawy i Modlina. 1-go września przejeżdżał transportem kolejowym przez bombardowaną Warszawę. Nalot bombowy pod Piotrkowem Trybunalskim doszczętnie rozbił wozy ze sprzętem. Tato, lekko ranny w głowę, pozbierał co się dało i wrócił do Warszawy, gdzie brał udział w budowaniu barykad i w pracach saperskich w rejonie Fortów Bema. Po kapitulacji Warszawy, jeńców Polaków ze Wschodu Niemcy przekazali swym ówczesnym sojusznikom Rosjanom. Krótki pobyt w Brześciu nad Bugiem, załadunek do pociągu i droga w nieznaną. Konwojujący -żołnierze sowieccy- byli ciekawi opowieści wojennych. Pozwolili wyjść tacie i jego koledze do fryzjera na dworcu w Królewsczyźnie. Fryzjer dał im trochę pieniędzy i poradził przesiąść się na sąsiedni pociąg jadący w kierunku Dyneburga. Kto wie czy nie uniknęli wtedy najgorszego?

Wieczorem w Dzień Zaduszny moja babcia nieomal zemdląła widząc ojca oprószonego pierwszym śniegiem w drzwiach rodzinnego domu i to w polskim mundurze. Myślała, że widzi ducha. Jego koledzy donieśli, że tato zginął pod Piotrkowem.

Później przysłała konspiracja, służba w wywiadzie, walki w 23-ciej Wileńskiej Brygadzie AK, bitwa o wyzwolenie Wilna, aresztowanie przez NKWD w Puszczy Rudnickiej i znowu ucieczka. Ale to temat na oddzielną książkę. Najciekawsze, że ojca z więzienia pomógł wyciągnąć jego bliski znajomy Żyd, który ukrywał się w specjalnej skrytce w stajni. Był to przewrócony wóz nakryty sianem. Młody Fiszer, którego karmiła, doglądała i pocieszała jego przyszła żona, daleka krewna ojca, nie mógł tam długo wytrzymać. Będąc na weselu kolegi, u państwa Pujszów ojciec poznał zatrudnionego jako robotnik rolny, zbiegłego z obozu jenieckiego rosyjskiego oficera, który został dowódcą najbliższego radzieckiego oddziału partyzanckiego. Po pewnym czasie „Wołkow” próbował nawiązać z ojcem kontakt, aby uzyskać dane wywiadowcze. Za zgodą lokalnego dowództwa AK ojciec stał się kimś w rodzaju oficera łącznikowego. Młody Fiszer trafił do oddziału partyzantki radzieckiej. Polacy nie tworzyli jeszcze wtedy oddziałów leśnych obawiając się wzmożonych represji niemieckich przeciwko ludności cywilnej. W 1949-tym roku Fiszer skontaktował się

z „Wołkowem” i ten podobno zaświadczył, że „Zapolski pomagał partyzantom radzieckim”. Pamiętam jak Fiszer ze swoją rodziną przyjechał do nas któregoś lata na wakacje. Wyczałowali się z ojcem jak bracia. Bawiliśmy się z jego córeczką Marysią, a z jego synkiem Władkiem wydzieraliśmy sobie z rąk drewnianą balie, która służyła nam za łódkę na jeziorze. Fiszer na pewien czas wyemigrował do Izraela. Mieszkali w kibucu, lecz jego żonie nie odpowiadał gorący klimat. Wrócił do Polski, zmienił nazwisko na Winokurowski, rozstał się z żoną i w końcu wyjechał do Szwecji. Na jego ostatni list musiałem już sam odpowiedzieć, powiadamiając go o śmierci Taty.

Ulica Kajki w Kętrzynie nie cieszyła się dobrą sławą. W dużej części zrujnowana (nie w czasie wojny, ale przez Sowietów, którzy spalili dużą część miasta), straszyla opalonymi resztkami murów, pustymi plombami i kilkoma ruderami. Jedynie nad jeziorem otwierała się przestrzeń. Za domem skarpa i ogród pieczołowicie doprowadzony do porządku przez ojca. My też już od małego musieliśmy pomagać przy oczyszczaniu terenu z powojennych jeszcze śmieci. Na granicy ogrodu był wawóz, w którym kiedyś były bunkry a w nich, jak opowiadała babcia, trupy żołnierzy niemieckich. Któregoś dnia usłyszałem okropny wybuch. Jacyś chłopcy rozpalili w nim ognisko i wrzucili w nie pocisk. Skończyło się to tragicznie śmiercią i kalectwem kilku z nich. Niestety, to była niemal codzienność na tych terenach. Dzień w dzień słyszało się wybuchy min i pocisków, które polscy już saperzy wydobywali i detonowali aż do lat siedemdziesiątych. Na minach podrywali się grzybiarze i poszukiwacze skarbów Siedziby Hitlera. Oglądałem olbrzymią, chyba 10-cio tonową bombę lotniczą wyciągniętą na brzeg naszego jeziora. Razem z bratem i kolegami rozbieraliśmy znajduwane w pozostałościach okopów naboje, suszyliśmy proch i strzelaliśmy z tak zwanych korków. To był też niezły napęd do rakiet. Pasek taty szedł w ruch i na pewien czas hamował nasze niebezpieczne zabawy. Babcia często zabierała mnie na grzybobranie. Wiele razy zwracała mi uwagę, żeby nie dotykać żadnych drutów, żadnego żelastwa w lesie. Czasem mama zostawiała nas u swoich rodziców. Zapracowanego i małomównego dziadka Jana, trochę się baliśmy. Lubiliśmy za to odwiedzać jego brata Michała. Dziadek Michał był starym kawalerem i mieszkał razem z dziadkiem, babcią i wujkiem Marianem koło parku przy stadionie, w dużym, piętrowym domu z ogrodem. Miał tam dużą pasiekę i pomagaliśmy mu czasem przy odwirowywaniu miodu. W swoim pokoju posiadał adapter, dużą kolekcję przed i powojennych płyt gramofonowych, oraz sporą bibliotekę. Godzinami słuchaliśmy muzyki Szalapina i Kiepur, a także naszych powojennych piosenkarzy. Dziadek Michał palił papierosy jak smok i skończyło się to niestety rakiem płuc. Bardzo go nam brakowało. Babcia była pogodną i ciepłą osobą. Częstoowała nas smakołykami, ogórkami z miodem, oraz pokazywała nieliczne „skarby”, jakie zdołała uratować z wojennej pożogi. Był to na przykład woreczek ze srebrnymi przedwojennymi monetami, albo stara srebrna cukiernica. Przez pewien czas przejęli oni odosobnione poniemieckie gospodarstwo położone między Kętrzynem a Starą Różanką. Kiedyś nas babcia zaprosiła na kilka

dni. Nie było tam elektryczności, więc wieczorem wewnątrz domu oświetlane było miedzianymi lampami naftowymi. Wypucowane odbłyśniki lamp rzucały ciepłe światło na stół zastawiony do kolacji, gdy wraz z bratem zmęczeni całodziennym ganiem po podwórku, wpadaliśmy głodni do małej jadalni. Oczywiście przed tym obowiązkowe było szorowanie rąk i mycie twarzy w prowizorycznej łazience w misce z wodą. A było co zwiedzać. Stary konny kierat na podwórzu, różne narzędzia gospodarcze, kury i kaczki w kojcach, świnki i krowy w oborze. Nie mówiąc już o stawie, w którym próbowaliśmy złowić jakąś rybę. Rano budził nas świergot ptaków i pachnące kwiatami powietrze, a czekające na dworze atrakcje i piękna pogoda zachęcały do dalszego odkrywania tajemnic.

Mama nie miała łatwego życia. Ojciec pracował i ciągle przebywał w różnych delegacjach. Pewnego dnia przyniósł do domu dyplom inżyniera rolnika. Uzyskał go w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie uzupełniając wykształcenie rolnicze, jakie zdobył w Sejmikowej Szkole Rolniczej w Opsie. Mama w tym czasie musiała nas nakarmić, ubrać, oprać. Przerabiała stare ubrania, cerowała skarpety, prała w balii. Mam takie zdjęcie, na którym wraz z bratem paradujemy w pięknych (aczkolwiek bardzo niewygodnych) kożuszkach zrobionych przez naszą kochaną i zaradną mamę. Tato lubił życie towarzyskie i często bez zapowiedzenia przyproceedzał gości do domu. Szczytem wszystkiego było przyproceedzenie do domu 5-cio osobowej ziemiańskiej rodziny repatriantów prosto z dworca do domu. Na wyrzuty mamy tato odpowiedział:- Przecież nie mogłem zostawić ich na ulicy-. Do pasji doproceedzał mnie ubrylantowany, stary lowelas, który próbował dostawiać się do mojej pięknej mamy, oraz jego matka traktująca wszystkich jak służących. W końcu ojciec to zauważył i przeniósł ich do , czystej, pokazowej obory, którą otrzymał wraz z działką w ramach rekompensaty za pozostawione na Kresach mienie i jako nagrodę za pomoc w organizacji ogólnopolskiej wystawy rolniczej. Wkrótce nasi repatrianci wyjechali gdzieś na Zachód wraz z przywiezionymi z ZSRR motorami „IŻ ” i tobołami pełnymi dobytku.

Do szkoły podstawowej nr.1 poszedłem w wieku niecałych 6-ciu lat. Chciałem jak najszybciej nauczyć się płynnie czytać. Pewnego razu wracając ze szkoły wystraszyłem się olbrzymiego taboru cygańskiego przetaczającego się przez główną ulicę miasta. Mama i babcia straszyły mnie czasem, że jak będę niegrzeczny to porwą mnie Cyganie. Pod dom odprowadziły mnie starsze koleżanki ze szkoły, które ulitowały się nad przerażonym malcem.

Moją wychowawczynią była skromna i cicha pani Anna Mirynowicz. Miała naturalny autorytet, wynikający chyba z jej całego życiorysu. W czasie okupacji, wraz z mężem aktywnie działała w wileńskiej konspiracji AK, drukując i rozprowadzając podziemną prasę i ulotki. Nie zapomnę atmosfery strachu, jaka zapanowała w szkole, gdy któryś ze starszych uczniów oblał atramentem portret Stalina. Dyrektorka pani Reiss i nauczycielki miały zapłakane oczy. Wystraszone dzieci z obawą patrzyły na wszędzie obecnych obcych panów w kapeluszach.

Radosnym zaskoczeniem był dla mnie artykuł na brasławskiej stronie internetowej, którą przeczytałem w styczniu 2014-go roku, o mojej wychowawczyni

pani Annie Mirynowicz obchodzącej uroczyste 106-tą rocznicę urodzin w lipcu ubiegłego roku .

Bardzo dużo czytałem. Szkolna biblioteka okazała się stanowczo za mała. Korzystałem także z bibliotek publicznych i pożyczałem książki, od kogo się dało. Pamiętam radość, jaką odczułem, gdy otrzymałem w prezencie pod choinką pierwszą Małą Encyklopedię Powszechną. To był chyba najpiękniejszy prezent w moim życiu.

Pewnego dnia ojciec przyniósł do domu skarb, wielolampowe radio Tesla. Wcześniej słuchaliśmy chrobotu „kukuruźnika”, to jest głośnika podłączonego do kabla rozciągniętego między domami. Sami konstruowaliśmy słuchawki z pudełek pasty do butów. Radio ustawiono na honorowym miejscu w dużym pokoju i mogliśmy napawać się płynącą z niego muzyką. Codziennie wieczorem tato zasłaniał szczelnie zasłony i słuchał z przytulonym do radia uchem kakofonii dźwięków ze stacji Wolna Europa. Po latach przejęliśmy ten zwyczaj słuchając z tejże stacji listy przebojów nadawanej bodajże w piątkowe wieczory. A były to lata Beatlesów, więc, mimo nieustającego zakłócania „wrogiej propagandy” przez dzielne służby cenzorskie, mieliśmy czego słuchać.

Pierwszy telewizor widziałem w remizie strażackiej. Staliśmy dosyć daleko od ekranu, bo wszystkie miejsca siedzące były zajęte i próbowaliśmy coś odróżnić na migającym ekranie. W naszym domu pierwszy telewizor kupił stryjek Heniek, który wraz ze swoją młodą, niedawno poślubioną żoną Halinką, mieszkał na parterze. Później tato sprawił nam niespodziankę i przyniósł do domu ten, jakże pożądany przez nas sprzęt. Długo jednak odbiór był bardzo słaby. Zamontowaliśmy kilkunastometrowy maszt z anteną telewizyjną przy drzewie na skarpie. Też niewiele to poprawiło. Tato przygotował specjalny, teleskopowy maszt, który wraz z odciągami, z wielkim trudem zainstalowaliśmy na dachu. Pamiętam to dokładnie, bo tego wieczoru usłyszeliśmy wstrząsającą wiadomość o zabójstwie prezydenta USA Johna Kennedy. Z zapartym tchem oglądaliśmy poniedziałkowe teatry telewizyjne, szczególnie „Kobrę”, dobre programy rozrywkowe jak „Wielokropek” czy też niezapomniany „Kabaret Starszych Panów”. Trzeba przyznać, że cenzura miała też dobre strony, nie dopuszczając na ekrany chłamu, który panoszy się teraz w komercyjnej i nie tylko, telewizji.

Rozrywek było w bród. Na oczyszczonym z ruin placu, od czasu do czasu pojawiały się karuzele, strzelnice, a nawet tzw. „beczka śmierci”. Z zapartym tchem oglądaliśmy straceniców kręcących poziomo piruety na motocyklach, coraz wyżej i wyżej w kłębach śmierdzących spalin. Koło jeziora naprzeciw szpitala raz do roku rozkładał się cyrk. Podziwialiśmy akrobatów i dzikie zwierzęta, śmiejąc się do rozpuku z dowcipnych kłownów. Obok w parku często rozkładały się tabory cygańskie. Już przestałem się bać Cyganów i chęcią słuchałem ich pięknej muzyki przy rozpalonym ognisku.

Łowiliśmy ryby w jeziorze. Kiedyś brat złapał dużego karpia na tak zwaną podrywkę. Karp wypadł z czerpaka. Januszek z poświęceniem rzucił się w muł i z triumfem wyciągnął rybę na brzeg. Sąsiad wyrwał mu karpia i uciekł do swojego domu. Zaczęły się negocjacje. Krakowskim targiem pół karpia dostało się jemu, bo

od niego pożyczaliśmy podrywkę, a drugą część mama usmażyła i mieliśmy wspinały obiad.

Tato pracował w prezydium jako główny agronom. Często jeździł w teren zabierając nas czasem ze sobą. Poznawaliśmy nowe, interesujące miejsca i ciekawych ludzi. Raz byliśmy w bogatym gospodarstwie autochtona Mazura. Pokazywał nam obejście, maszyny rolnicze i biblię pisaną gotykami w staropolskim języku. Ojciec cenił tych ludzi i stawiał za przykład innym gospodarzom, ubolewając nad głupotą niektórych decydentów, ale i także niektórych naszych repatriantów traktujących ich na równi z Niemcami.

We wczesnym PRL-u -kwitło życie towarzyskie. Rodzina i znajomi spotykali się często przy suto zastawionym stole rozmawiając, bawiąc się i popijając wódeczkę. Zakłady pracy urządzały zbiorowe wycieczki na łono przyrody. Z takiej „integracyjnej” wyprawy nad Kanał Mazurski pozostało zdjęcie jej uczestników na tle brzoźki obwieszanej pętami kiełbasy i butelkami wódki. Tylko, że wtedy jechały całe rodziny z dziećmi. Łowiliśmy ryby i przygotowywali ognisko. Później piekliśmy nad ogniem kiełbaski, ryby, kromki chleba, popijając to pysznym podpiwką, a dorośli czymś jeszcze mocniejszym. Grajek harmonista, a czasami nawet samorzutnie utworzony zespół ,przygrywał do tańca.

Stryj Stanisław miał małe gospodarstwo tuż pod miastem. Na żniwa odbywała się tak zwana „tłoka”. Sąsiedzi, rodzina, dzieci, przyjaciele wspólnie pomagali przy ścinaniu, wiązaniu w snopki, grabieniu, zwożeniu i młóćce zboża. Wieczorem gospodarz urządzał dla wszystkich utrudzonych żniwiarzy bardziej lub mniej, huczną biesiadę. Stryj był myśliwym, więc wędzona i pieczona dziczyzna często gościła na stole. Niedaleko przy łące był staw obrosnięty trzcinami i liliami wodnymi, nad którym przyjemnie było odpocząć, popływać, łowić karasie.

Z drugiej strony miasta, w kierunku Nowej Różanki i wiatraka, dziadkowie i brat mamy próbowali swoich sił na otrzymanym, w ramach za utracone mienie zabużańskie, poniemieckim gospodarstwie. Pamiętam kierat na dużym podwórzu, otoczonym stodołą, oborą i niewielkim piętrowym domkiem. Prąd nie był jeszcze doprowadzony, więc wieczorem jadało się kolację przy lampach naftowych rzucających ciepłe światło odbite z wypolerowanych, miedzianych lusterek odblaskowych i szybko szło się spać. Babcia częstowała nas ogórkami, które moczyliśmy w świeżo wybranym z pasieki dziadka miodzie. Rano, przy otwartych oknach, budziły nas trele skowronków buszujących w wiśniowym sadzie. Nieco później dziadkowie przenieśli się z powrotem do miasta. Zamieszkali wraz z wujkiem i bratem dziadka na parterze piętrowego domu w parku. Lubiłem tam przychodzić. Brat dziadka Michał miał dużo pięknych książek i kolekcję starych płyt gramofonowych. Słuchaliśmy Szalapina, Wertyńskiego, Kiepurę i innych przed i powojennych utworów. Wujek miał olbrzymi poniemiecki motor BMW z koszem, którym obwoził nas po okolicy. Babcia częstowała smakołykami i opowiadała o starych czasach. Pradziadek miał na Kresach spory około trzystuhektarowy majątek, który po nim przejęli mój dziadek ,dwaj jego bracia i siostry. Babcia przeżyła rewolucję i dwie wojny światowe. Pierwszy dom spalili Niemcy a drugi, wraz z całą niemal wioską, podpalili enkawudziści za to, że mieszkańcy ukrywali w niej gorącego polskiego patriotę bł. księdza Mieczysława Bohatkiewicza. Został on później rozstrzelany przez Niemców w Berezowcu (Głębokie) , w tym samym

więzieniu skąd sowięci poprowadzili mojego dziadka „drogą śmierci” w czerwcu 1941 go roku. Moja ciocia Marysia z d. Puzyńkiewicz , zakonnica i radiolog, korespondowała po wojnie z jego bratem ks.Stanisławem Bohatkiewiczem .

Babcia była bardzo pogodną osobą i zawsze dziękowała Bogu, że przeżyła te ciężkie czasy, nie przejmując się utratą majątku na Wschodzie. Opowiadała na przykład spokojnym, pogodnym głosem o epizodzie z 1-szej Wojny Światowej w Dźwinsku (Dyneburgu, obecnie Daugavpils), ostrzeliwanym przez wojska rosyjskie, takimi słowami; - Schowałam się za rogiem domu, bo strasznie strzelali. Obok mnie stał żołnierz w szarym szynelu. Pocisk świsnął i urwał biednemu żołnierzowi głowę- Była głowa- nie ma głowy-.

W czasie wycieczki zorganizowanej przez kombatantów, przyjaciół ojca, w latach pięćdziesiątych, odwiedziłem ich majątek, a raczej to, co po nim zostało. Został duży trzyhektarowy sad, zasadzony przed wojną przez dziadka, tak zwany świreń (magazyn na zboże) i długi, parterowy dom/obora zbudowany z gliny przy pomocy miejscowych starowierców, tymczasowo, w czasie wojny, na miejsce spalonego nowiutkiego domu. W domku po mojej prababci, jednym z dwóch pozostałych po pożarach, mieszkała gościnnie i miła pani Szapołowska. Pamiętała dziadków i twierdziła, że jest krewną naszej słynnej aktorki, której rodzina też stąd pochodzi. Na cmentarzu odnalazłem ledwo czytelny napis na kamiennym krzyżu oznaczającym miejsce ostatniego spoczynku mojego pradziadka (?) Puzyńkiewicza Jana, a niedaleko niego świeży grób trzeciego brata dziadka, Stanisława, który nie wrócił po wojnie do Polski, przeniósł się do Donbasu i wykształcił swoje dzieci na inżynierów górnictwa. W Brasławiu odnalazła mnie przyjaciółka mojego ojca, jego koleżanka szkolna z technikum rolniczego w Opsie (były pałac Platerów), pani Józefa Michniewiczowa. Była niezrównaną przewodniczką po miejscach upamiętniających polską historię tych ziem. Powtórnie odwiedziłem Brasław i okolice po 21 latach. Do majątku Rudzie nie dotarłem. W 2019 roku dojechaliśmy tam wozem konnym dzięki pani Krysi Baczewskiej. Po drodze zajechaliśmy na cmentarz, gdzie znaleźliśmy groby pani Koniuszewskiej i Szapołowskiej. Jedyńm stałym mieszkańcem odciętej od świata kolonii był jej syn , mieszkający w domu po siostrze mojej babci, Milenkiewiczowej. Po tymczasowym domu Puzyńkiewiczów pozostały zarośnięte ruiny, ale świreń i resztki starego sadu dziadka pozostały.

Natomiast stary dom ojca w Różewie , nad jeziorem dziadka nadal stoi. Tam też jedynym mieszkańcem jest inwalida w nim mieszkający , który pamiętał mnie z wizyty sprzed ćwierć wieku i serdecznie zapraszał do pozostania na dłużej mówiąc, że miejsca nie brakuje.

Za naszym domem w Kętrzynie wznosiła się skarpa obsadzona drzewami owocowymi. Kiedyś z bratem podkopaliśmy się pod jabłonkę, próbując wyciągnąć jakieś stare żelastwo, które uznaliśmy za rozbity samolot. W szopie przy ogrodzie próbowaliśmy zbudować łódkę, której szkielet z listewek oklejaliśmy masą papierową według opisu przeczytanego w „Młodym Techniku”. Nic z tego nie wyszło, bo tato obawiając się abyśmy nie poszli na dno razem z tą naszą delikatną konstrukcją , zniszczył ją ku naszemu głębokiemu żalowi. Innym razem skakaliśmy ze skarpy trzymając nad głową kawał dykty udając Ikarów. Przyjaźniliśmy się z Edkiem, Witkiem i Cześkiem z sąsiedztwa, często odpierając wspólnie ataki obcych chłopaków próbujących wejść na nasz teren. Zimą zjeżdżaliśmy na sankach ze

stromej górki za ogrodem, lub do późnego wieczoru ślizgaliśmy się po jeziorze na ciągle spadających, przypinanych do butów łyżwach. Narty były marzeniem trudno dostępnym. Jedne stare narty dał stryjek Heniek, a drugie sami wystrugaliśmy z desek. Problemem był brak wiązań. Mocowaliśmy je jakoś sznurkami. Przyjemnie się szusowało po zamrożonych rozlewiskach koło naszej działki. Gorzej było ze zjazdami. Zjeżdżając z pobliskiej górki Januszek wbił się w zaspę, fiknął koziołka głową w dół, kawałki „nart” poszybowały do góry. Śmieliśmy się potem długo wspominając ten widok.

Dobrze rozumiałem się z o rok młodszym bratem. Kiedyś uczułem w palcu silny ból, usłyszałem głośne „Auu!” z sąsiedniego pokoju. Właśnie Januszek zaciął się w ten sam palec scyzorykiem. Gdy urodziły się o pięć lat młodsze bliźniaki, doszły dodatkowe obowiązki. Trzeba było wozić je czasem w podwójnym wózku, pilnować i karmić, gdy mama poszła do pracy. Pewnego dnia, gdy uczyłem się do klasówki, bliźniaki strasznie rozrabiały. Przywiązałem je na długim sznurku do pieca kaflowego. Oj dostało mi się od mamy za moje metody wychowawcze.

Tato był wymagającym, surowym a równocześnie uczynnym i bezinteresownym człowiekiem. Nie raz oberwałem paskiem i uciekałem pod opiekuńcze skrzydła babci, gdy coś przeskrobałem. Wiem jednak, że chciał wychować nas na porządnym ludzi. Miał szacunek u ludzi znających jego przeszłość i aktualną działalność. Zaimponował mi kiedyś, gdy zobaczyłem przez okno, jak szybko rozprawił się z grupą miejscowych chuliganów, którzy napadli na sąsiada. I byłem mile zaskoczony rozpoznając w tłumie żałobników podstarzałego już, największego żulika w okolicy, wiele lat później na pogrzebie ojca.

Częstymi gośćmi byli różni koledzy ojca z partyzantki i przyjaciele z rodzinnych stron. A dobór gości był czasem zaskakujący. Pamiętam, jak próbowałem powstrzymać śmiech podsłuchując pod drzwiami dyskusję księdza proboszcza Wacława i bodajże powiatowego sekretarza partii. Ksiądz proboszcz znał dobrze zasady marksizmu, a sekretarz biblię i katechizm, dzięki swojej ukochanej żonie, którą często widywano w kościele modlącą się głęboko za męża komunistę, idealistę. Panowie kłócili się, spierali zawzięcie. W końcu ojciec zasiadał do pianina i zgodnie razem śpiewali partyzanckie piosenki. Biednego sekretarza przeniesiono gdzieś na inny, mniej odpowiedzialny odcinek z powodu, jak się wydaje, żony dewotki.

Inny znajomy ojca z Brasławia, felczer Kruczkowski, często wyciągał nas z różnych chorób. Cichy, skromny człowiek pomagał ludziom w czasie wojny, a także w biednych powojennych czasach, dobrze zapisując się w pamięci Kętrzyńian.

Stare, rozklekotane poniemieckie pianino na smoczycach, było przyczyną naszych późniejszych mąk w szkole muzycznej. Tato kochał muzykę, a nie mając muzycznego przygotowania, chciał muzycznie wykształcić swoje dzieci i zmuszał nas do grania zadanych ćwiczeń i gam. Woleliśmy z bratem biegać po podwórku, łowić ryby i poznawać okolice, więc mimo paskowej perswazji nasza edukacja muzyczna nie trwała długo. Uczyłem się trochę gry na skrzypcach, często wagarując z nielubianych lekcji teorii. Lubiłem za to chodzić na lekcje gry do gabinetu dyrektora Szkoły Podstawowej nr.2. Dyrektor szkoły, a równocześnie nauczyciel gry na skrzypcach w Szkole Muzycznej, pan Michał Wiśniewski, był spokojnym, cierpliwym człowiekiem, który po obowiązkowych ćwiczeniach i gamach mówił: - A teraz

zagramy coś do słuchu. I to były chwile, gdy rzeczywiście odczuwałem piękno muzyki. Niestety, ten prawdziwy, dobry człowiek i pedagog wkrótce zmarł, a jego następcą zniechęcił mnie do kontynuowania nauki gry na tym trudnym instrumencie. Byłem też członkiem zespołu szkoły muzycznej. Kiedyś, po koncercie w miejscowym kinie, w Gazecie Olsztyńskiej ukazał się artykuł wraz ze zdjęciem, na którym dość ładnie wypadłem wraz z moją koleżanką z zespołu, grając „drugie skrzypce”. Babcia przybiegła do nas na górę wołając – Wnuczku! A coś ty narozrabiał, że pokazują ciebie w gazecie?-. Faktycznie grałem bardziej ze słuchu, jak z nut. Dyrektor i dyrygent stanął raz nade mną w czasie próby i kiwając głową stwierdził – Ładnie, ładnie. Tylko grasz linię melodyczną pierwszych skrzypiec, zamiast drugich. Patrz i graj z nut, a nie ze słuchu-. A miałem prawdopodobnie tzw. słuch idealny, bo wykorzystywano mnie do strojenia wszystkich instrumentów smyczkowych w zespole. Którejś jesieni przed kinem zatrzymał się autobus z góralskim zespołem ludowym. Kierowca pytał się nielicznych przechodniów, czy ktoś nie posłużyłby za przewodnika po Siedzibie Hitlera. Zgodziłem się z radością na taką ofertę i wraz ze swoimi skrzypkami pojechaliśmy do Gierłozy. Wielokrotnie wcześniej penetrowaliśmy z kolegami ruiny bunkrów włączając w miejsca na wspomnienie o których jeszcze dzisiaj cierpnie mi skóra. Moja rola przewodnika przypadła im chyba do gustu, bo zawieźli mnie na swój koncert w sali koncertowej szkoły WOP-u i odwieźli po koncercie prosto pod nasz dom. W garderobie zajmowały się mną piękne Góralki, a z Góralami próbowałem „pitolić” na skrzypkach.

Coś dobrego jednak zostało z mojej „katorgi” w szkole muzycznej. Polubiłem muzykę i nie nudziłem się na koncertach muzyki poważnej, które odbywały się od czasu do czasu w auli naszego liceum. Nauczyłem się kilku chwytów na gitarze, próbując śpiewać najnowsze przeboje. Wraz ze znanym szantymenem Jurkiem Porębskim (mgr.dr. ichtologii) i z kolegami ułożyliśmy niejedną morską balladę podczas rejsów na M/V „Wieczno” i R/V „Profesor Siedlecki”. Po ukończeniu szkoły morskiej namiętnie kupowałem w obcych portach płyty gramofonowe najlepszych wykonawców zza „Żelaznej Kurtyny” niedostępne wtedy w kraju. Później proceder ten przerwała małżonka (pierwsza). Cóż- proza życia...

Ryszard Zapolski